

Ze śmiercią mu do twarzy

Jerzy Pilch
Dziennik
Wielka Litera
Warszawa 2012

Dobra, przyznać się bez bicia. Kto dowiadując się, że Jerzy Pilch wyda diariusz, nie pomyślał chociaż przez chwilę, iż z takim prezentem dla czytelników autor Pod mocnym aniołem spóźnił się przynajmniej 15 lat? Kto nie chciałby przeczytać o czasach krakowskiej bohemy, dziesiątkach podrywów, nieustającej przysiadalności? „I nagle on, wskazując mi jakieś dwie / siedzące przy sąsiednim stoliku / proponuje byśmy się do tych dwóch przysiedli”, cytując słynny wiersz Marcina Świetlickiego. Więc kto nie chciałby przeczytać o morzu wódki, pięknych kobietach i Krakowie z czasów, gdy żyli Miłosz, Błoński, Tischner i Turowicz? No właśnie. Stety/niestety Dziennik nie zaczyna się w połowie lat 90., ale teraz, dokładnie 21 grudnia 2009 roku, kończy zaś 21 listopada 2011 roku. „Tu i teraz” jest jednak sprawą drugorzędną, nieistotną, to tylko tło dla opowiedzenia historii dla czytelnika znacznie ciekawszych. A i z miejsca zaznaczyć należy, że dziennik to to nie jest i niech nie zmylą czytelnika dokładne (dzienne) daty przy każdym wpisie. Nazwisko „Pilch” ma dwa synonimy – felietonista i prozaik. Memuarysta? W życiu.

Choć dobrze – zgodzę się, że dzienniki może pisać każdy, a przy ostatnim wysypie (Białoszewski, Stachura, Mrożek, Iwaszkiewicz...) tej formy (literatury?) wspomnień można odnieść wrażenie, że za parę lat diariusze zajmą miejsce starej dobrej powieści. Idąc tym śladem, dziennik wydał i Pilch, publikując go wcześniej na łamach „Przekroju”. Pisał także dla (nomen omen) „Dziennika”, „Polityki” i „Tygodnika Powszechnego” – wszędzie jednak felietony. A teraz nagle dziennik? Nie ze mną te numery, panie Pilch, felietonem tu wali na kilometr i nikogo pan tutaj na wspomnienia z dnia powszedniego nie nabierze.

Bo o czym Pilch pisał jako felietonista? By wymienić pokrótce: rodzinna Wiśła, Kraków, „Tygodnik Powszechny”, później o spacerach wzdłuż warszawskiej ulicy Hożej, Marianie Stali, o papieżu (tym polskim), piłce nożnej, luteranach i katolikach, trochę o polityce, ale bardziej o literaturze, śmierci przyjaciół. A o czym pisze teraz? Nie ma znaczenia, że w miejscu tytułu pojawia się data. Oczywiście, nie o formę czy rzeczony tytuły tutaj chodzi. Chodzi o śmierć. I nie tę zabierającą kolejnych znajomych pisarza, ale tę, której oddech czuje sam autor. Było o tym wcześniej? Nie pamiętam. Dziennik jest więc o śmierci. Albo powinien być tylko o śmierci.

We wcześniejszych utworach Pilch napisał wiele o smutku, może trochę o przemijaniu, ale czy o śmierci? Nawet w Tezach o głupocie, picu i umieraniu (1997) o ostatnim było najmniej, a teraz, w Dzienniku, śmierć co kartkę. Taka, która puka do drzwi własnego mieszkania, przypomina o swojej cierpliwości, powtarza na ucho, że już czas, choć jeszcze trochę czasu daje. Ile? Cholera wie, może to dopiero początek, dopiero potwierdza swoją obecność, nie daje pisarzowi bezwzględniego spokoju. Albo tak mu się wydaje, albo zwyczajnie tak na pisarza oddziałują pierwsze sygnały nadchodzącego końca, że musi o tym napisać, a napisze, jak Bóg da, jeszcze więcej.

Widać to już od pierwszych stron. Gdy tylko pojawia się wspomnienie ojca, a i parę słów o Jarosławie Iwaszkiewiczu, którego wydawany właśnie w trzech tomach diariusz cały jest o odejściu, można odnieść wrażenie, że nic tak w Pilchowej głowie nie mąci, jak właśnie zbliżająca się kostucha. Podobnie jak u Iwaszkiewicza, temat ten jest poruszany w Dziennikach Sandora Maraia, o którym Pilch również wspomina. Nie pisze jednak wprost, że Iwaszkiewicz i Marai są dla niego nauczycielami w kwestii godzenia się z tym, co ma nastąpić.

W żadnym wypadku. Po pierwsze, po co zdradzać czytelnikowi swoje inspiracje? Po drugie – Pilch jest znacznie subtelniejszy. Odchodzenie widać tu raczej w obrazach coraz to rzadziej odwiedzanej Wisły, wspomnieniach przyjaciół (kolejne rocznice śmierci, kolejne nekrologi) czy powrotach do książek dzieciństwa.

W całej tej nieznośnej nieprzyjemności lektury Dziennika, która w stan melancholii wprawiała mnie niemal bez przerwy, pobrzmiwa jednak dobrze znana Pilchowa ironia, wyrafinowane poczucie humoru i unoszący się nad całością spokój, święty, rzecz jasna. Dziennik jest pozycją nierówną, ale jest tu cała masa spostrzeżeń, przywodzących na myśl najlepsze kawałki jego twórczości. Zaśmiewałem się do łez, czytając o próbie kupna psa, który musiał być koniecznie luteraninem, ale skoro sprzedawał go katolik (obłudny, jak się okazuje), nie mogło to wyjść na dobre. Kiwałem z uznaniem głową, śledząc polemikę z Jarosławem Rymkiewiczem (choć Pilch cytował głównie kolegę Mariana Stalę), wzruszałem się przy tekstach dotyczących Schulza. A to dopiero początek z ponad 400-stronicowego tomu.

Powiedzieć, że wychowałem się na tekstach Pilcha, to nie powiedzieć nic. Skłamałbym jednak, pisząc, że tylko on uczestniczył w tym

procesie, bo kilku ważnych pisarzy w moim dorastaniu odegrało nie mniejszą rolę. Choć jak dłużej o tym myślę, to może wcale nie na jego pisarstwie się wychowałem, tylko na micie, który narósł wokół? No, ale mit sam powstać nie mógł. Tak – potwierdzam, wychowałem się na micie Jerzego Pilcha. Na wszystkim, co się czuło, sięgając po Pod mocnym aniołem. Pisarz pełną gębą – myślałem wtedy, nie jakiś mitoman, gryzi-piórek, co siedzi tylko za elegancko urządzonym biurkiem. I cholera, nie wierzę Pilchowi, gdy on się żali, że mu przyrosła gęba dziwkarza czy jakiegoś bumelanta. Mit ma to do siebie, że obalić jest go trudniej niż stworzyć, panie Pilch, sam pan sobie na to zasłużył. Pisz pan dalej, o czym chcesz. Ja czytać będę wszystko spod Pilchowego pióra. Chociażby spis mieszkańców ulicy Hożej czy członków wiślanej rodziny (dalszych czy bliższych). No. Do pracy, ile czasu by nie było.

Łukasz Saturczak